

Paweł Wakuła

Skarb arcybiskupa





Nikt nie wiedział, skąd się właściwie wziął, ani kim byli jego rodzice. Po prostu pewnego dnia pojawił się na uniejowskim zamku: mały, najwyżej pięcioletni chłopiec w łachmanach.

Musiał mieć za sobą daleką drogę, bo jego bose stopy były obtarte do krwi, a na jedzenie rzucił się niczym głodny wilczek.

– Sierota, pewnie jego bliskich zabili zbóje albo Krzyżacy. Zresztą, na jedno wychodzi... – westchnęła Maciejowa, która zawiadywała zamkową kuchnią.

Wszyscy przyznali jej rację, jako że od roku trwała wojna z zakonem, o której powiadano, że to już ostatnia, że po niej odwieczny wróg Królestwa Polskiego nie wstanie z kolan.

– Jak ci na imię? – spytała Maciejowa.

Chłopiec nie odpowiedział. Patrzył na nią szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

– A ty co, ducha zobaczyłeś? – zażartowała.

Pokręcił głową.

– Dzwony... Tam, za rzeką...

– Dziś dzień świętego Bogumiła, patrona Uniejowa – wyjaśniła kobieta. – Nie bój się, one wzywają wiernych na mszę do kościoła.

Odetchnął z ulgą. Najwyraźniej ten odgłos kojarzył mu się z biciem na trwogę.

– Od dziś będziesz nosił imię Bogumił – oznajmiła kucharka. – Zgadzasz się?

Malec skinął głową.

Bogumił, albo raczej Miłek, bo tak na niego wołano, zadomowił się w uniejowskim zamku, a pozostali służący arcybiskupa szczerze go polubili.

Chłopiec całymi dniami ganiał po zamkowych korytarzach i pętał się dorosłym pod nogami. Wszędzie było go pełno.

– A to niecnota! – gderła Maciejowa. – Jak tu przylazł, to nie wiedział nawet, jak ma na imię, a teraz tylko psoty mu w głowie!

Tak naprawdę bardzo go lubiła i traktowała



jak rodzonego syna. Dzieciak był ufny i wesół, tylko czasem w nocy budził się z krzykiem. W oczach miał takie samo przerażenie jak wówczas, gdy po raz pierwszy usłyszał dzwony uniejowskiej kolegiaty.

Gdy Maciejowa pytała, co mu się śniło, odpowiadał, że pożar i rycerze z czarnymi krzyżami na białych płaszczach.

Z czasem nocne koszmary ustały. Miłek wydorósł i starał się być pomocny. Nosił wodę ze studni, rąbał drewno na opał i oporządzał konie w stajni. Słowem – robił wszystko, czego można oczekiwać od dziewięcioletniego mężczyzny.

Inna rzecz, że na miejscu potrafił wysiedzieć tylko wówczas, gdy Maciejowa snuła gawędy przy ogniu rozpalonym w kominku. Za oknem zawodził jesienny wiatr, deszcz bębnił o kamienne parapety, a ona wspominała zamierchłe czasy.

– Ho, ho! Stary jest nasz Uniejów! – dowodziła. – Nikt nie wie na pewno, kiedy powstał. Może za czasów króla Bolesława Chrobrego, albo i wcześniej? Drewniany gród strzegł bezpieczeństwa podczas przepraw przez Wartę, stał na straży porządku w całej okolicy... Do czasu. Przyszła wojna z Krzyżakami i psubraty go spaliły...

– Rycerze z czarnymi krzyżami na płaszczach? – upewniał się chłopiec.

– A któż by inny! Żeby się przed nimi bronić, arcybiskup Bogoria-Skotnicki wznosił nową twierdzę, murowaną. Nie tak łatwo ją zdobyć, o nie! Ale najważniejsza jest wieża. Wiesz przecież!

Chłopiec wiedział.



Potężny ceglany stołp* wznosił się nad budynkiem jak czerwona góra. Ludzie powiadali, że arcybiskupi gromadzili w nim swoje skarby. Na sam dźwięk tego słowa Miłkowi robiło się gorąco.

Przez wiele dni wpatrywał się w wieżę z zapartym tchem. Wyobrażał sobie komnaty do połowy wypełnione złotymi monetami, w których jak skwarki w kaszy tkwią klejnoty i szlachetne kamienie. Korciło go, żeby wleźć do środka i zobaczyć te dziwy na własne oczy, ale bał się klucznika, starego Mikołaja.

Zwierzył się ze swojego strapienia Maciejowej, a ta roześmiała się w głos:

– Co też ci chodzi po głowie, przecież wieża jest pusta!

– Jak to? – pomarkotniał chłopiec.

– To prawda, że arcybiskupi przechowują w naszym zamku swoje bogactwa, ale robią to tylko podczas wojny – wytłumaczyła mu kucharka. – Wtedy przywożą tu najcenniejsze relikwie, a do tego kielichy, monstrancje, pastorały, lichtarze... Ale tych cudowności od dawna w Uniejowie nie ma, podobnie jak naszych panów. Wolą zamek w Łowiczu, uważają, że jest ładniejszy i wygodniejszy...

– A nieprawda! – zaperzył się Miłek. – Uniejów najlepszy!

– Dobrze z ciebie dziecko – uśmiechnęła się Maciejowa. – Oповідаłam ci już o tym, jak zbój Kośmider-Gruszczyński zdobył nasz zamek? Nie? No to posłuchaj...

I Miłek słuchał jak zaczarowany...

* Stołp – średniowieczna wieża obronna. Ostateczny punkt obrony.

Raz tylko, i to z daleka, Miłek zobaczył prawdziwego arcybiskupa. Było to podczas mszy w kolegiacie. Jego Ekszelencja miał na sobie czerwoną szatę, na głowie wysoką infułę, a na ramionach ornat haftowany srebrną nicią. Na piersiach zwisał mu drogocenny krzyż wysadzany rubinami, a w dłoni trzymał złoty pastorał.



Wystarczył rzut oka, żeby stwierdzić, że to największy dostojnik kościelny w Polsce, druga osoba po samym królu. Chłopiec pomyślał, że skarb należący do takiego człowieka musi być po prostu niezmierny.

Proboszcz uniejowskiej kolegiaty uklęknął przed arcybiskupem i pocałował jego pierścień, a dostojnik wypytywał go o coś i łaskawie kiwał głową. Potem odwrócił się na pięcie... i tyle go widzieli.

– Pojechał do Łowicza... – mruknęła gorzko Maciejowa. – Ale to nic! Jeden arcybiskup wciąż z nami jest i ten pozostanie na zawsze, po kres dni!

– Który? – zdziwił się chłopiec.

– Jarosław Bogoria-Skotnicki! Jego duch wciąż błąka się po tujszych korytarzach. Nic w tym dziwnego, w końcu to jego dzieło!

Potem kucharka długo opowiadała chłopcu, jaki to był wspaniały człowiek. Jak studiował prawo w cudzoziemskich krajach, a potem służył swoją wiedzą kolejnym polskim królom, zawsze wierny i gotów do najcięższej pracy.

– Żył sto lat, a tego, co w tym czasie uczynił, starczyłoby na dokonania dla dziesięciu innych ludzi – mówiła. – Procesował się

w imieniu króla z Krzyżakami przed sądem papieskim, stworzył kodeksy praw dla całego królestwa, budował klasztory, kościoły i zamki!

– Nasz też?

– No przecież ci mówiłam! Kolegiatę w Uniejowie także on ufundował, i wiesz co... – kucharka nachyliła się do ucha chłopca. – Ludzie gadają, że zamek i kościół są połączone podziemnym korytarzem. Bogoria-Skotnicki kazał wykopać go, żeby w razie zagrożenia schronić się tam z ludnością miasta!

– Przejście podziemne pod Wartą? – upewnił się Miłek.

– Ano! Nikt nie wie, gdzie jest wjazd do tego tunelu, ale jakby mnie ktoś pytał, to tam są schowane prawdziwe skarby! Co ty na to? Hm?

Chłopiec znowu nie mógł zasnąć. Myśl, że człowiek może przejść niezauważony pod dnem rzeki do odległej o kilkaset metrów kolegiaty, była tak niezwykła, że aż zapierała dech w piersi, a przecież w tunelu mogły być jeszcze skrzynie ze złotem i srebrem!

Z tego wszystkiego nazajutrz odważył się podejść do starego Mikołaja i spytać go, czy pozwoli mu wleźć na wieżę.

Klucznik zdziwił się... i ucieszył. Dawno już nie miał nic do roboty. Wprowadził chłopca do ceglanego stołpu, a potem po kręconych drewnianych schodach na samą górę.

Po drodze Miłek rozglądał się, ale nigdzie nie było widać żadnych skarbów, za to w jednym z mijanych pomieszczeń pełno było zakurzonych



ksiąg. Jedne leżały na półkach, inne w stosach pod ścianami.

Mikołaj zauważył jego zdziwienie.

– Relikwii i skrzyń pełnych złota tu nie zobaczysz, ale niektóre z tych ksiąg są bezcenne.

Uwierz mi!

Wreszcie pokonali ostatnie trzydzieści trzy stopnie i znaleźli się na samym szczycie wieży. Rozpościerał się stąd niezwykły widok. Po drugiej stronie szeroko rozlanej Warty znajdowało się miasteczko, nad którym górowała wieża uniejowskiej kolegiaty. Dalej, aż po widnokrąg, ciągnęły się różnobarwne wstęgi pól zakończone ciemną ścianą lasu.

– A wszystko to należy do naszych arcybiskupów! – oznajmił z dumą Mikołaj.

Przez długą chwilę przyglądali się tej cudnej krainie w milczeniu, słysząc tylko szum wiatru i ciche gruchanie gołębi, które przysiadły w załomach muru.

– Czy to prawda, że do kolegiaty można przedostać się z zamku podziemnym przejściem? – spytał nagle chłopiec.

Stary klucznik parsknął śmiechem.

– Dajże spokój! Tunel pod dnem rzeki? To bajdy opowiadane przez baby w nudne zimowe wieczory! Co jeszcze gadały? Wspomniały może o duchu Bogorii-Skotnickiego i jego skarbie? Mieszkam w tym zamku trzydzieści lat i żadnej zjawy nie widziałem!

Miłek posmutniał.



Tego wieczora był milczący i nieobecny. Maciejowa przestraszyła się nawet, że zachorował.

– Po co ten stary dureń ciągał cię na wieżę! Tam tak wieje, że każdy by się przeziębiał.

– Nic mi nie jest... – odburknął chłopiec.

– Jak to nic? Przecież widzę, że coś ci dolega! No, gadaj!

Od słowa do słowa wyznał kucharce, co go trapi.

Maciejowa uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Aż tak ci zależy na tym skarbie? Co byś z nim zrobił?

Miłek zacisnął zęby.

– Zbudowałbym dziesięć zamków, a potem uzbroił tysiąc rycerzy i wyruszył na wojnę z Krzyżakami! Żebym już nigdy nie musiał śnić tego koszmaru!

Minął kolejny rok. Po całym królestwie rozeszła się wieść, że wielki mistrz zakonu krzyżackiego Albrecht Hohenzollern złożył na rynku w Krakowie hołd lenny* polskiemu królowi Zygmuntowi Staremu.

Odwieczny wróg ukorzył się i przyjął warunki pokoju, a państwo zakonne przestało istnieć, zostało zamienione w zwyczajne świeckie** księstwo.

Miłek nie posiadał się z radości.

Jego nocne koszmary skończyły się na dobre, przestał też marzyć o zdobyciu wielkiego skarbu. Już go nie potrzebował.

* Hołd lenny – uroczysta ceremonia, podczas której wasal składał seniorowi przysięgę wierności i lojalnej służby.

** Świecki – niemający związku z religią.